

PLANETA ZGROZY.

Tłum. MARYA SEGENY.

10

— Ja, chcę się stąd wydostać! — zawołałem. — Rozkazuję ci, wyprowadź mnie stąd!

I ruchem rozpaczliwym wyprężyłem ramiona; udało mi się cokolwiek rozszerzyć otwór w siatce, uczyniony w nocy.

Wówczas rzucił się z groźnym mruczeniem na mnie. Uwolniłem ręką wymierzylem mu silny cios w piersi; potknął się, upadł z nogami uwięzionymi w skrzydłach. Przez chwilę sądziłem, że już zwycięstwo trzymam w dłoni. Ale potwór, upadając, miał na tyle przytomności umysłu, że potrafił pochwycić jedną z kul ołowianych, obciążających wiążącą mnie siatkę i tak ją silnie pociągnął, że uczulem się mocniej jeszcze skrępowanym.

Widząc moją wściekłość, roześmiał się strasznie, a ten śmiech uczynił twarz jego jeszcze wstrętniejszą i bardziej odrażającą.

— To dobrze — rzekłem zimno — skoro tak ze mną postępujesz i nie chcesz mi nawet powiedzieć, dokąd mnie prowadzisz, nie postąpię ani kroku naprzód.

I stanąłem, opierając się silnie stopami o ziemię; wszystkie jego usiłowania, aby mnie poruszyć, były nadaremne. Postanowiłem uporem zmusić go do uległości.

Wtedy czując, że jestem silniejszy, wskazał mi pazurem koniec korytarza, gdzie widniało światło i wymówił słowo „jesć”. Było to pierwsze słowo, które nauczyłem go wymawiać.

Dowiedziałem się więc nareszcie, że prowadził mnie gdzieś, aby mi dać pożywienie; byłem zanedo wyczerpany i głodny, aby dłużej się opierać. Poszedłem więc za nim chętnie. Nie dowiedziałem się zresztą nigdy, czy mój dozorca wykonywał rozkaz jakiejś wyższej władzy, czy też czynił to z własnej woli i natchnienia.

Przebyliśmy jeszcze około dwadzieścia kroków, a jasność wzmogła się szybko. Dokładnie już widziałem wnętrze podziemia, pokryte grubą warstwą kurzu, kości i szkieletów. Erlooisy, którego oczy boleśnie raziły coraz silniejsze promienie światła, postępował z trudem i widziałem jego wysiłki, aby dojść do końca.

Ja zaś szedłem szybko, rozmyślnie pociągając go i zmuszając do szybszego chodu.

Tak, jak to przewidywałem słusznie, przyszła chwila, że wypuścił mnie z łapy, nie mogąc już iść dalej, stanął nagle i głowę ukrył pod rozłożone skrzydło.

Wydałem okrzyk szalonego tryumfu, i począłem biec do siły mi starczyło, wiedząc dobrze, że w pełnym świetle nie będzie mógł za mną postąpić.

Nie usiłował nawet próbować; pozostał skurczony na ziemi, z głową ukrytą, zupełnie bierny i nieruchomy.

Nie rozmyślałem wcale nad przyczyną tej zmiany; zdawało mi się, że skrzydła mam przypięte do ramion i że światło, które widziałem w dali, będzie moim wybawieniem. Przekonanie to dodało mi siły i odwagi.

Na widok szafirowego skrawka nieba, dostałem uczucia nieopisanego radości. Stanąłem na chwilę odrzucony i nieprzytomny od siły tego uczucia. Żaden z najcudniejszych widoków natury, widzianych dotąd, nie wydał mi się tak pięknym, jak ten małeńki skrawek nieba! Uspokoilem się jednak po chwili i biegłem dalej szybciej jeszcze, rozkoszując się już na przód odzyskaną wolnością. Lecz gdy przybyłem do końca korytarza, radość moja zamieniła się w gorzkie rozczarowanie.

Sądziłem bowiem, że ta jasność zawiedzie mnie gdzieś w pola lub lasy bezkresne, w których czułem się będę bezpieczny i szczęśliwy, a tymczasem było to tylko okienko, wybite w skale. Było to zapewne jedno z dziennych schronisk Erlooistów.

Przebyłem straszną chwilę niepokoju i apatii. Wyjrzałem w końcu przez ten fatalny otwór i na tysiąc metrów mniej więcej pod stopami, dostrzegłem żółtawe, brudne wody wielkiej rzeki, podmywającej stoki mojego więzienia.

Ażeby uciec stąd, trzeba by mieć skrzydła.

Byłem tak przygnębiony i wzruszony, że lzy bezwiednie zaczęły spływać z moich oczu. Długą chwilę stałem w miejscu, bez myśli i ruchu, niewiedząc, co dalej postanowić czynić.

Przedemną rozstaczał się niezwykły i wspaniały widok. Olbrzymie lasy, widziane z tej zawrotnej wysokości, podobne były kwiecistym dywanom, o bar-

wach wyszukanych i harmonijnie złączonych. A cały daleki horyzont widniał jakgdyby otulony w miękkie i kapryśne fałdy jakiejś tkaney złotem, drogiej materii. Tysiące różnorodnych ptaków, z ogłuszającym wrzaskiem uwijało się jak motyle nad łąką, w przezroczystym powietrzu i dopełniały miary tego niezapomnianego pejzażu.

W dali, rysowały się długim, różowym i purpurowym szlakiem, dziwnie postrzępione jak delikatne koronki, olbrzymie góry.

Nieprzeparty urok tego nieziemskiego widoku sprowadził mi pewne ukojenie i dopomógł do uporządkowania wzburzonych myśli. Rozdrażnienie moje zniknęło powoli. Pomyślałem, że na razie nie pozostało mi nic innego, jak powrócić do mojego więzienia, do Erlooistów, których zachowanie się względem mnie wydawało mi się coraz bardziej niewytłumaczalne.

I zatem więc cofnąłem się kilka kroków z powrotem do śmierzdzącej i pogrążonej w ciemnościach piwnicy, gdy nagle spostrzegłem dość duże wgłębienie po lewej stronie muru, które dotąd uszło mojej uwagi.

W zagłębieniu tem stał drewniany półmisek, nałożony owocami, kawał pieczonego mięsa i kilka rybek trójkątnych, których łowieniem zabawiałem się podczas pobytu mojego we wsi Marsianów, a o istnieniu których widocznie Erlooiscie wiedzieli.

Obok tego stał duży garnek z wodą. Ucieszyłem się niezmiernie na widok tych przygotowanych dla mnie potraw, bo głód już dawał mi się poważnie we znaki. Zjadłem z apetytem wszystko, i zaraz zacząłem się inaczej zapatrywać na moje położenie. Powrót do optymizmu, do którego zawsze jestem skłonny, napełnił mnie żywym zadowoleniem. Byłem teraz przekonany, że Erlooiscie nie czyhali na moje życie, ale w każdym razie mieli co do mojej osoby pewne plany, których jeszcze zrozumieć nie mogłem. Postanowiłem więc zachowaniem mojem nie drażnić ich i ulegać im we wszystkim do pewnego czasu, to jest do chwili, w której będę mógł urzeczywistnić nowy plan ucieczki. Ten plan zaś już wyraźnie zarysowywał się w moim umyśle.

Nie rozporządzałem ani czasem stosownym, ani potrzebnymi materiałami, do sporządzenia długiego sznura, po którym mógłbym zejść z góry do rzeki — ale pomyślałem o spadochronie.

Siatka, którą byłem owinięty, mogła mi dostarczyć sznurów, a ubranie z piór, które miałem jeszcze na sobie, posłużyć mi mogło za ostateczne oparcie. Przywiążę sobie ten aparat pod ramionami i skoczę do rzeki, którą przepłyne z łatwością.

Długą chwilę stałem w zagłębieniu muru, wdychając ożywcze powietrze i ciesząc się widokiem przestrzeni dalekiej i słońca, zanim zdecydowałem się powrócić do mojego dusznego i wstrętnego więzienia.

Gdy odwróciłem się poraz ostatni, aby pożegnałem spojrzeniem objąć cały widnokrąg, ujrzałem nagle w dali długą smugę białego dymu ciągnącego się wierzchołkami drzew.

Nie potrafię opisać wzruszenia, jakiego doznałem; szalona jakaś nadzieja wstąpiła we mnie.

Ten biały znak, płynący tam prosto w falach spokojnego powietrza, stał mi się nagłym symbolem wyzwolenia, zwiastunem nieoczekiwanego szczęścia.

Tylko jedni Marsianie, moi dobrzy towarzysze, obeznani już przezemnie co do właściwości ognia, rozniecić mogli płomienie w celu wypłoszenia Erlooistów.

Przypuszczałem, że rozpoczęli poszukiwania za mną na myśl, że tylko kilka kilometrów dzieli mnie od oddanych mi przyjaciół, serce żywiej w piersi bić zaczęło. Nie mogłem się oderwać od tego widoku. Musiałem przywołać do pomocy cały zasób odwagi i zimnej krwi, aby zdecydować się wejść w to ponure podziemie.

Odnalazłem Erlooisa, na tem samym miejscu, gdzie go pozostawiłem.

Nie wyrzekałszy ani słowa, odprowadził mnie w głąb korytarza.

Dzień włókł się do nieskończoności; wypełniłem go jak mogłem, częścią snem, częścią rozmyślaniami.

Gdy noc zapadła, Erlooisy wyszły ze swoich kryjówek; podziemia, jak dnia poprzedniego, wypełniły się szumem ich skrzydeł, a w ciemności rozbiły setki błyszczących światełek. Ale zauważyłam z uczuciem wielkiej ulgi, że nie zwracali już tak troskliwej uwagi na mnie, chociaż ciągle jeszcze byłem strzeżony przez Erlooisa, któremu zawdzięczam te znaki na rękach. Widok mój nie budził już w nich tej gorącej ciekawości. Było to bardzo korzystne dla moich planów ucieczki. Zaczęło się wówczas dla mnie życie, pełne okropnej, męczącej monotoności.

Codziennie rano, mój Erlooisy, dozorca, przychodził po mnie i prowadził do zagłębienia w murze, gdzie

znajdowałem zawsze przygotowane dla siebie pożywienie.

Mogłem do woli podziwiać okolicę i cieszyć się wdychaniem świeżego powietrza, którego brak coraz silniej dawał mi się odczuwać.

Zmartwiłem się bardzo, nie ujrawszy już nazajutrz wąskiego pasma dymu, które obudziło we mnie tyle niecierpliwych nadziei.

Dodawałem sobie jednak energii, rozmyślając bezustannie nad sporządzeniem sobie spadochronu.

Byłem na tyle przewidujący, że odłożyłem na bok kilka muszli ze ślimaków, które podawano mi do jedzenia; były one spiczasto zakończone jak ostre noże i posłużyć mi mogły do przecięcia spojeń mojej siatki. W końcu wykombinowałem sobie, że zwążywszy na to, iż na Marsie przedmioty wszystkie posiadają mniejszą wagę, niż na ziemi, będę potrzebował mniejszej ilości materii do zrobienia spadochronu.

Na nieszczęście, pomimo pozornej wolności, jaką się cieszyłem podczas chwil poświęconych na pożywienie, byłem tak gorliwie strzeżony, że tydzień cały upłynął według mojego obliczenia, zanim zabrałem się do roboty.

Rozpacz mnie ogarniała, energia moja topniała powoli i czułem, że wkrótce rozchoruję się, dusząc się w tem zepsutem i gęstem powietrzu.

Erlooisy, o których pierwotnie sądziłem, że posiadają pewną cywilizację i inteligencję, przedstawili mi się teraz, kiedy je widziałem z bliska, jako zwierzęta drapieżne i bezrozumne, których cała inteligencja a właściwie instynkt zwrócony był do zaopatrzenia się w żer potrzebny.

Jedynym przemysłem, o którym mieli jakieś nikłe pojęcie, było wyrabianie siatek, plecionych z włókien kory, które służyły im do polowań nocnych na upatrzone ofiary. W jedną z takich siatek, podobną do sieci do łowienia ryb, pochwycili mnie i trzymali mnie w niej uwięzionego jak w klatce.

Lecz wyrabianie tych siatek, było u nich tak instynktowne i bezwiedne, jak praca pająka nad utkaniem pajęczyny.

Siatki ich miały zawsze ten sam rozmiar, tę samą ilość oczek.

Starzy Erlooisy, niezdolni już do odbywania wybiegów nocnych, zajmowali się tą robotą, do której używali drzewa, podobnego do naszej brzozy.

Zastanowiłem się, dlaczego te potwory, tak doskonale uzbrojone w pazury i skrzydła, potrzebowały tych siatek do chwytania zwierzyny, przypuszczałem, że w porze braku tej zwierzyny ziemskiej, posługiwali się temi sieciami, aby pochwycić jakie mamifery, zwierzęta wodne, a może nawet ryby, bardzo liczne w kanałach Marsa.

Oczy moje przyzwyczaiły się już cokolwiek do ciemności podziemia; podczas ciężkiego snu Erlooistów odważyłem się dwukrotnie zapuścić w głąb korytarzów.

Sklepienia te były jeszcze rozleglejsze, niż przypuszczałem, rozszerzały się jakimś głębokimi przepaściami, do których zejść odwagi mi brakowało.

Zaciekało mnie od początku mojego uwięzienia niezliczona ilość kości, pokrywających ziemię, ale w końcu zjawisko to wyjaśnionem zostało.

Błądząc raz nocą, natrafiłem na wielkie zagłębienie, gdzie piętrzył się stos wyschniętych szkieletów tych potworów, leżały tam tysiącami, i doprawdy wieki całe złożyć się musiały na te zbiorowisko.

Nie mogę sobie wyobrazić nic straszniejszego nadto cmentarzysko, gdzie te ohydne twarze, szkielety i strzępy wyschniętych skrzydeł, leżały w nieładzie, tworząc jedną przerażającą mogiłę.

Spostrzegłem również ze zdumieniem i przerażeniem, że Erlooisy, na podobieństwo pewnych dzikich szczepów, dobijają starców, niezdolnych do lotu i pożerają ich. Wszystkie te szkielety nosiły oznaki uduszenia i wyssania krwi z żył.

Oddaliłem się prędko od tego zapowietrznego miejsca i teraz wytłomaczyłem sobie, dlaczego w tem podziemiu o licznych przecież otworach panuje tak strasznie zepsute powietrze.

O ile jednak Erlooisy okazywały wstrętne okrucieństwo dla kalek i starców, to o tyle dla noworodków pełni byli względów i starania.

Zaraz po urodzeniu składano je w rodzaj kolebki, uwięzionej z gałązek miękkich liany, wyłożonej puchem, w której pozostawały aż do nabrania sił, potrzebnych do lotu.

Widziałem matki Erlooisy, karmiące swoje dzieci, ukryte pod skrzydłami, jakby płaszczem, obdarzając ich pieczyotami. Ale ten widok sprawiał mi zawsze wstręt nieopisany.

Część pewna podziemia, odgradzona wysokimi kamieniami, służyła za schronisko tym gniazdom.

Poza temi spostrzeżeniami nie wykryłem nic nad-